

OKOLICA POETÓW

MIESIĘCZNIK

R. II. — NR. 2 (II)

15 LUTEGO 1936.



ALFRED ŁASZOWSKI: W OBRONIE PIĘKNYCH ZDAŃ
MIECZYŚLAW JASTRUN: ŚMIERĆ HRABIEGO NA ORGAZIE

STEFAN NAPIERSKI: POWRÓT O KSIĘŻYCU

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK: ELEGJA O ŚMIERCI SIOSTRY

JAN BOLESŁAW OŻÓG: JODŁOWY WÓZEK

JAN KOTT: NAD DRŻENIA GÓR

WŁODZIMIERZ PIETRZAK: DWIE RZĘKI

TADEUSZ ŻAKIEJ: OGIEŃ

STANISŁAW BĄKOWSKI: PRZEKŁADY Z MIGNOSIEGO

GABRYEL KARSKI: Z TIUTCZEWA

SEWERYN POLLAK: Z PASTERNAKA

CZESŁAW JANCZARSKI: SIELANKA

STEFAN SZAJDAK: PRAWIE

WACŁAW IWANIUK: DWA WIERSZE

STANISŁAW CZERNIK: DZIEŃ PRZED ŻNIWAMI

TADEUSZ DEMCZYK: W SPRAWIE KONTAKTU POETÓW

RECENZJE

NOTY



REDAKCJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. POPRZECZNA 2.

W OBRONIE PIĘKNYCH ZDAŃ

Prosper: Czytałem twój reportaż w „Okolicy poetów”.

Arjel: (swoim zwyczajem) No i co? Nie podobał ci się! Uważasz go pewno za nowy objaw hysterji impresjonistycznej.

Prosper: Mniej włączaj. Ale mam inny poważniejszy zarzut. Protestuję przeciwko rozbijaniu wiersza na części. Jako typowy konsument pięknych zdań, burzysz organiczną jedność utworu poetyckiego. Twój sposób emocjonalnego doznawania liryki, mimo wszystko, jest analityczny. Aby przyswoić sobie całe piękno wiersza, ćwiartujesz go i rozkładasz. To rozkoszowanie się każdym powiedzeniem z osobna...

Arjel: Cóż zrobię, kiedy moja wyobraźnia nie chce czekać do końca lektury. Reaguje odrazu na fragmenty, ułamki i cząstki. Wiem, że to jest poniekąd rozsądzanie organizmu wiersza, ale wiersz zrasta mi się dopiero w drugiem czytaniu. Wtedy dopiero chwytam zasadę jednoczącej wlezi, wtedy ujawniają się układy spoiste, i nagle błyska oś krystalizacji.

Prosper: Można i tak. Przypomnę sobie właśnie, że Peiper bronił w „Czasie” stanowiska, jakie ty zajmujesz przy pierwszym czytaniu. Twierdził, że urywkowe widzenia wewnętrzne nie muszą się zrastać. Wręcz przeciwnie, powinny pozostać w ułamkach. Wyobraźnia człowieka naprawdę zemocjonowanego nie przeżywa całych przedmiotów, lecz widzi tylko ich najbardziej wzruszające części. Niech będzie. Dla mnie to są jednak rzeczy indywidualne. Nie można tworzyć reguł doznawania poezji. Każda wyobraźnia rządzi się własnymi prawami. Peiper odkrył zasadę działania swej fantazji i chciałby ją narzucić światu. Niestety...

Arjel: Uważaj. Nasza dyskusja zbliża się do ważnej sprawy.

W jej perspektywach widzę spór o technikę assimilacji utworów poetyckich. Czuję, że znowu grozi nam rozmowa o najsukutekniejszych sposobach przyswajania energii lirycznej.

Prosper: Czy pojęcie energii jest ci tu koniecznie potrzebne?

Arjel: Przyznaję, że bez niego nie potrafilibyśmy się teraz obejść. Dzieło sztuki, a specjalnie wiersz, jest dla mnie zbiornikiem energii. Czytając, włączam prąd, ładuję psychikę jak akumulator. Gdyby napięcie piękna można było mierzyć w amperach i woltach, miałbym licznik lub podziałkę wzruszenia w przeliku.

Prosper: Jesteś wlezą ciśnień, ale twoje witalistyczne stanowisko ma w sobie coś prymitywnego. Zmiłuj się. Liryka nie może przecież być narzędziem do łechtania krtani. Nie jest po to, aby człowieka rozpierać i nosić z kąta w kąt, jak nadęty balon zachwytu. Czyż te reakcje mogą stanowić o wartości wiersza? Przecież można je wywołać innymi środkami. Spytaj się swojej znajomej. Trzy miesiace zażywała żelazo z fosforem i teraz ma taki przybór sił żywotnych, jak ty po dobrym wierszu.

Arjel: Zgadzam się. Te objawy towarzyszące konsumpcji lirycznej nie są najważniejszą zdobyczą czytania. Poezja, która zaopatruje nas w dynamiczne potencjały energii życiowej, dysponuje temsamem do wielokrotnienia wysiłków w każdym innym zakresie. Możemy zużyć jej ładunek w pracy fizycznej, umysłowej, możemy wystrzelać go w rozrywce, sami o

tem nie wiedząc. To są korzysci okolicznościowe. Doznajemy ich wtedy, kiedy liryka roznieca nam w piersiach nowe objętości, kiedy powiększa pojemność wzruszenia, kiedy... Mam powiedzieć wszystko?! Kiedy przestrzeń światła czujemy od wewnątrz. I dlatego ja się przy czytaniu arcydzieł utleniam. Tak jest, nowe związki, żywe połączenia, liryzm uderza do krwi „Inaczej nie wytłumaczę czystą fizyką tylko”.

Prosper: Ale miałeś powiedzieć, co jest najważniejsze?

Arjel: To! Wykształcenie w sobie nowych sposobów odczuwania światła za przykładem liryki awangardowej. Sprawa nowoczesnego zorganizowania wyobraźni uzbrojonej w dyspozycje liryczne odkrywców jest dla mnie w tej chwili najważniejszą sprawą.

Prosper: Chcesz wrażliwość hodować i szczeplić na najlepszych wzorach. Daj przykład. Powiedz, jak to robisz.

Arjel: Jedno zdanie Pelpera: „Malina: wiatr rzuca mi na czoło jej barwę”. Kiedy wyszedłem potem na spacer, przemieniło się całe moje odczuwanie barw. To była „nowa radość wyobraźni” puszczonej w ruch zgodnie z jej niezaktualizowanymi potrzebami takiego właśnie doznawania kolorów.

Bo barwa w naszej apercpcji estetycznej zyskuje szybkość i polot, bo barwę już dawno należało w ten sposób uskrzydlić słowami. Kiedy kolor żarzy się i grzeje, widać drganie jego cząstek w powietrzu. Ujrzenie barwy w rzutkiej znowie z wiatrem wydaje mi się głęboko prawdziwe. W danej chwili było radością poznawczą...

Prosper: A propos. Więc wzruszenie jest stanem poznawczym?

Arjel: Tak. Ale poznanie na tej drodze odbywa się inaczej niż w nauce. Nauka ustala obiektywne cechy i związki między zjawiskami. Liryka nadaje rzeczom właściwości, których często nie mają. Może je przekształcać zgodnie z potrzebami wyobraźni artysty. Może decydować o wyglądzie przedmiotów, jest niezgodą na formy zastane. Usiłuje stworzyć świat inaczej. Zamiast konstatować i stwierdzać, obdarza go nowymi cechami. Buduje rzeczywistość, zamiast ją powtarzać. Z elementów bezpośrednio nadanych organizuje wizję poetycką.

Prosper: Dobrze, ale co jest przedmiotem twojego poznania?

Arjel: Przedmiotem mojego poznania na terenie liryki są procesy przetwórcze. Chciałbym uchwycić zasadniczy klerunek tych przekształceń, wiedzieć ku jakim formom zmierzają. Interesują mnie zasady i prawa działania danej wyobraźni twórczej. Uważam, że każdy wielki poeta ma swoje własne kategorie ujmowania zjawisk. Wynikają one z aktywnych potrzeb jego fantazji, wynikają z dyspozycji lirycznych.

W nich dochodzą do głosu specyficzne właściwości apercpcji pisarza. Apercpcja zabarwiona uczuciowo nie jest prostym stwierdzeniem obecności przedmiotów. Jest aktem przeobrażającym. Modeluje świat, aby scharakteryzować go na wzór marzenia. Takie spojrzenie rzeźbi. Nazywam je — humanistycznym.

Prosper: Aha, człowiek jako miara wszechrzeczy. I zapewne awangarda od Protagorasa. Ale nie tylko to jest przedmiotem twojego poz-

nanla. Chcesz dotrzeć do Idei, na wzór których poeta tworzy swoje wyobrażenia o rzeczywistości.

Arjel: Nie zapomnij, że idee w ujęciu platońskim miały być ogólne. A nowa poezja wykrywa w zjawiskach cechy jedyne i niepowtarzalne. Szuka tego, co różni, co wyodrębnił dany egzemplarz z pośród gatunku, rodzaju i t. d. Zamiast sprowadzić przedmioty do wspólnego mianownika, nadaje im specyficzny wyraz. Indywidualność!

Prosper: A jednak! W reportażu użyłeś zwrotu: Lakoniczna formuła wnioskowości. Twierdzisz tam, że gdy wielki poeta mówi o zjawiskach wiersze stają się ich wzorem. Z pojęciem formuły i wzoru łączy się przecież ogólność. No! Ciekawy jestem jak wybrniesz z tego zarzutu.

Arjel: Pamiętaj, że to był reportaż pisany mową uczuć. Chodziło w nim o zdanie sprawy z wrażenia, jakiego doznajemy pod wpływem uderzającej trafności utworów poetyckich. Celne określenie jest swego rodzaju odkryciem i często działa na nas tak, jak namłotnie poznawane prawa, formuły, syntetyczne definicje w nauce. Chciałem dać wyraz wrażeniu przez analogię, wskazać na pokrewieństwo emocyj, które daje poezja i wiedza. Wszak daleki jestem od twierdzenia, jakoby piękne zdanie poetyckie zawierało w sobie strukturalny wzór, czy formułę wyrażonych zjawisk. Tu nie chodzi przecież o stwierdzanie stałych cech i związków, ale o charakterystykę czysto indywidualną. Inaczej: Nowa liryka dąży do sformułowania typowości zjawisk jedynych w swoim rodzaju i niepowtarzalnych. Widzę w niej usłowania zmierzające ku specyfikacji. Ona chce utrwalić wyraz przemijającego. Szuka w rzeczach różnic zamiast rejestrować podobieństwa sterczące na wierzchu. Dlatego wzory przez nią odkryte nie nadają się do uogólnienia, dotyczą bowiem jednostkowych właściwości przedmiotu. Typowość oczywista, ta typowość dostępna dla wszystkich nie interesuje jej. Awangarda wychodzi poza nią. Nie uznajemy odrębności stereotypowych. One powtarzają się w tysiącach egzemplarzy, są ważne dla nauki, nie są ważne dla nas.

Świat naszej wyobraźni nie jest światem składającym się z wytworów standaryzowanych. Jest czymś ciekawszym, bo zróżnicowanym do ostatnich granic.

Prosper: Masz skłonności do tworzenia reguł. A przecież każda taka klasyfikacja jest w zasadzie czymś niesłusznym i sztucznym. Twórczość wielu poetów awangardy przeczy tej zasadzie podziału.

Arjel: Przeczą jej upadki epigonów, lecz potwierdza ją bez reszty wielkość! Czoło naszego pochodni!

Prosper: Następnym razem zażądam od ciebie bardziej szczegółowych określeń. Będziesz musiał objaśnić kategorie poetyckie na przykładach konkretnych i powiedzieć mi o dyspozycjach lirycznych. Te rozwinięcia mogą okazać się interesujące. Żegnaj.

ALFRED ŁASZOWSKI

ŚMIERĆ HRABIEGO NA ORGAZIE

Na miasto medytacyj, na sny alchemików
I anielskich doktorów, wdumanych w księgi kabały
Jesień liśćmi sygnęła: wina czerwona dzikość
Wokół baszty skazańców w grozie skamieniałej.

Oto głowa i tors fundatora,
Co za zamku swego cztery głowy
Uniesiony jest przez chóry anielskie i w fałdy rajskiego jeźlora
Owija nagle ciała — w towar lazurowy.

Pastuchy pędzą trzodę dzikim krzykiem.
Krowy białe, łaciate, brodate barany.
Biały baśniowy koń błje kopytem
I strząsa grzywę dymiąc krwistemi nozdrzami.

Na strumieniu mostek. Jesion cień przerzuca,
Już pod jesień dni podchodzą. Mżenie mokrego błękitu.
Na ścianach dłużą się święte: Cecylja i Łucja.
Modlą się do ich oczu kobiety z lilij uwite.

Pana w zamku niema Milczy straż w ziemię wkopana.
Na pięć wieków wyjechał, na dwadzieścia i cztery.
W alembiku stygną zorze. Czemuż czas jest dla nas,
Którzy trudnym i po wiekach będzimy dlań żerem?

Obok ruin twoich, Hrabio, tłum przechodził,
Dymiąc czerwonym łuczywem, z nocą na wargach,
A ty patrzysz ukosem i w niebo uchodzisz,
Ale jeszcze wicher ziemski twoje szaty targa.

Umarł pan na wieczności. Beczą czarne, brodate barany,
Białe, baśniowy koń przegina szyję łabędzią,
Przepływają nad nami obłoki z owłoczek utkane,
Rzucają cienie na zieleni, i cichną za czasu krawędzią.

STEFAN NAPIERSKI

POWRÓT O KSIĘŻYCU

Gdy na zawsze minęło, nigdy nie powróci,
pozwól, że cię tej nocy raz jeszcze przypomnę;
to cię chyba zdaleka nie boli ni smuci,
że nad ranem, zwlekając, jednak przyjdiesz do mnie?

W blasku białym bezsenni przez zamarzłe szyby
czarnych drzew oglądamy na tym śniegu pręgi;
nie słuchaj westchnień wiatru, tych naszych: „ach, gdyby!”
Nie patrz! cienie złamane dręcą, jak przysięgi.

O, skryj mnie przed księżycem! mam w oczach przytomne,
gdy usypiam, twe oczy, zamiast gwiazd, i razem,
oddychamy pod niebem, jak pod grobu głazem.
Przytul się do mnie we śnie. Łatwiej cię zapomnę.

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

ELEGJA O ŚMIERCI SIOSTRY

Mojej siostrze coraz gorzej.
Mojej siostrze coraz trudniej.
A wiatr pada codzień polniej na ugorze
i w wietrze coraz jesieniej i chłodniej.

A niech tylko powietrze z gór spłytnie,
a tylko będzie miał grosze ojciec —
a tylko, a tylko do tego dojdzie,
zamieszkamy gdzieś wśród smereków na dolinie.

Tam będzie lepiej i pewnie będzie inaczej:
rano jaskółki u okien i słońca trzepot,
tam siostrze będzie rozleglej; tam błękitniejsze niebo
i czystsze powietrze z gór jodłowych — co płaczesz?

Ale księżyc do okien puka nocą i woła,
więc jak szukać jodłowego ustronia:
w chacie też pachnie jodłowo i w chacie jest woń sosnowa,
i te same, tylko polne, echa dzwonią — —

Więc tylko psy muszą nocą pod księżyc wołać,
gdy matka, matka wśród łez — —
Ty śniesz? O białych kołach, białych kołach,
słyszysz? coraz polniej pada wiatr: jesień już jest.

Siostrze mówił dziś lekarz, że będzie dobrze,
że jeszcze miesiąc, choćby dwa —
matkę cieszył: „może, mój Boże”,
ojcu powiedział prosto: tak!

A przez okna polny krajobraz,
a przez okna czerwona jesień:
trawiasta, liściasta, i dobra,
że może, że jeszcze, że przecież...

To ty w wicherze odpływasz, aż nocą
czarne ptaki do okien biją w opuszczony śplew i wiatr?
późną jesienią, ugorami, w schylony krajobraz i czas
jak złamana gałąź, jak ptak szamocąc — —

Włęcz to ty, siostrze, gdy ci duszę uniosą
szumieć będziesz w brzozowej bieli, wiatrem błękitnieć?
nie opuszczaj, nie odchodź, jeszcze ci młodo rosnać,
dziś ojciec posiał żyto i latem tam będziesz bławatkami kwitnąć.

Włęcz to ty umieraszą, gdy ja samotny cóż nad te słowa mogę,
gdy szamocę się w dniach, z każdą ich czarną krzywdą:
jak pies pod płotem nie legnę, pod księżyc wyc nie mogę,
lecz cierpię! I krzyż brzozowy ze słów, siostrze. Daleko. Dniom, które przyjdą.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

JODŁOWY WÓZEK

Brnie wózek po łące grząskłej
do domu w spokojnym wicherze.
Na główkę śpiącą w gałązkach
cleń śladł jak ptaszek najcichszy.

To ty sam drogą najprostszą
wleziesz swą radość i splewasz:
niema to jeszcze jak siostrze
pękami liści powiewać.

Poeto, jesteś pod brzozą.
Ach, Jaslu, ile to razy
i tobie w kołysce wozu
szumiał grabowy karmazyn.

JAN KOTT

NAD DRŻENIA GÓR

Chciałaś uciszyć wiatr co targa mój dom,
nagłm krzyżem ramion błogosławiąca nocy.

Patrz —

drżą już ściany dłoni splecionych,
czułym dachem uwleńczone z warg.
Góry, w przepaść strącone rozkoszą z błyskawic,
biją o niebo rzutem odwrotnym gwiazd —
to stygną białe wzgórze piersi.

W rozwianej koronie włosów burzy wyszłaś naprzeciw
rózo wiatrów zwycięskich —
Zerwane halnym, lawinom na zboczach nawistym podobne,
korzeniami wyrastając z nieba,
pionowo spadły ci do stóp
z nierzeczywistych regli sosny ogromne.

Kiedy trzykrotne pianie kogutów światłem obrysowało twe ciało —
nie zaparłem się dróg samotnie krzesanych w lodowcach —
łożyska zastygłych strumieni i zamieć w inny wiodły mnie dzień.
Płonął dom zorzą — strop lizały języki ognia.
— Spałaś.

Nie uciszysz wiatrów
silniejszych nad pożar ciała i drżenia gór.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

DWIE RZEKI

Takie lato!

Ogniem szklany Kijów jak kupa gruzów dymił,
gdy żółte błękity krwią się pręły o sierpy,
a nocą werble
i róże wystrzałów za domem biły do rytmu.
Głową brzęczącą ranka trudno doczekać,
gdy pszczoły nad snem krążą na torach pachnących śmiercią.

Daleko gołe drzewa ugrzęzły w płytkich równinach,
od północy siny biegł Dniepr
i złote cerkwie pyskiem mokrym targał,
a fali splenionej brzeg się nisko uginał.

Stamtąd wołałaś, skrwawiona Ojczyzno —

Niebo z mokrej stali obrzmiła deszczem i hukiem
burz —
pod świstem ostrym osły wysoko płonące
w barwach buraków i brukwi wstawały z traw.

Są góry i kwietnie fijołków ciemnych pełne.
Od gór, od wiosny
białe muchy zagli na Wiśle wzdętej lliczysz,
Idą obłoki niby morzem gęste welny,
a niebo nad rzeką jak przepaść nad tobą milczy.

Jestem
jak smukła wieża, z której ptaki biciem spłoszył
zachrypiły dzwon.
Biorę rosyjski motyw pątnika Antara,
lot sępów nad stepem spalonym słyhać,
mów. —

TADEUSZ ŻAKIEJ

O G I E Ń

Krew nazywa czerwień: z nóg długich w ramiona
Rzut.
Smagły, ustami pęka śmiech skóry.
Do stóp błęgni zeleni napięty tupot,
Natarte młętą ramię napinają wzrok
Szeroko lasem przekłuty.

Berwiona rzucone w stos: strzeliste,
Wypłja przestrzeń zakuta w chłód,
Spalone powietrze zsypuje się wdół,
W drgające liście.

Z kształtu uwolnione gałęzie i pnie
Ramion dopadły, szeleszczą.
Ogniem zapalony ogarniam się wzwyż.
Kolorem
Przemówił do krwi,
Zrenice zapalił!!!

Ciałem
Boga pochwalam.

Z NOWEJ POEZJI WŁOSKIEJ

PRZEKŁADY STANISŁAWA BĄKOWSKIEGO

PIETRO MIGNOSI

W N Ę T R Z E

Światło twożnie puka do mych oczu,
pali okrąg wszystkich tańczących otchłani,
a ja się pręzę wściekły i skurczem zginany;
więc to nadmiar światłości jest moją ślepotą?

Zamykam oczy: światło zalewa mnie odewwnątrz,
pijane źrenice pęta nieubłagane...

Nieprzecuty, gorący, gęsty pochłania mnie mrok.
Calego siebie widzę, całego! Czemżeż jestem, Panie?!

B L U Ź N I E R S T W O

Te nasze usta co się bluźnierstwem bezczeszczą!
Boże mój, nie daj im uschnąć;
byleś je Swym oddechem musnął,
jak modlitewny stos zaszeleszczą.

My, chociaż bluźniły Tobie,
znamy od uśmiechu Twego radość:
te nasze błędne wykrzywione usta
Ty pocałunkiem Swym ułagodź.

G O R Y C Z

Co rano, gdy się ockniemy,
spostzegamy, że wśród nocy
jakiś anioł u nas gościł
i w sercu naszym złożył
Twój najcenniejszy dar:
słowo miłości.

I na samotnych przechadzkach
czujemy niewypowiedzialnie,
jak w nas ten ciężar urasta,
każąc samotności darować
najszczerze i najrzadsze słowa.

I w niezliczone dni
pełne goryczy i smutku
ślejemy, przez życie całe,
słowa, co w nas zostały.

A gdy śmierci chwile nadblegną,
serce nasze będzie puste
i ze wszystkich słów, które nam dałeś,
nie zabierzemy żadnego.

Z POEZJI ROSYJSKIEJ

TEODOR TIUTCZEW

PRZEKŁAD GABRYELA KARSKIEGO

JAK NAD GORĄCEM POPIELISKIEM

Jak nad gorącym popieliskiem tak smętnie żywot mój się tli,
spala się zwitek w dymu mgle, dymem odchodzą wszystkie doby,
a ogień słowa, wiersze żre, — tak gasnę zwolna wśród żałoby
skrytym objąwszy go uściskiem: tych jednostajnych molch dni.

O nieba! gdybyż się choć raz
ten promień rozrósł wedle woli
i bez mąk dalszych i niedoli
gdybym rozbliśnieł wkrąg i zgasł!

BORYS PASTERNAK

PRZEKŁAD SEWERYNA POLLAKA

OKREŚLENIE POEZJI

To są — stromo spleźnione poświsty,
To jest — bryłek szczęką lodowych,
To jest — noc, która lodem tnie liście,
To — słowików - rywali rozmowy.

To — groch słodki, zielony, zdzićzały,
To są — w sercu szlochania wszechświata,
To — z pulpistów i z fletów Figaro
Ponad grządką się gradem rozpadał.

To, co noc znaleźć chciała tak bardzo
W kąpieliska podbrzeżach i toniach,
Aby gwiazdę móc donieść do sadza
W dygocących i mokrych swych dłoniach.

Duszność — płycej niż deski pod wodą.
Olchą padło sklepienie niebiosów,
Wgłosby gwiazdom przystało chichotać,
Ba, lecz wszechświat to miejsce bez głosu.

KOLUMNA GRUPY POETYCKIEJ „WOŁYŃ”.
CZESŁAW JANCZARSKI

SIELANKA.

Gołębie w sieci nieba jak złapane płotki
huśtały od rana błękitną sieć.
Liljowego chłodu natrzepał świerk pod okno,
na żółty piach, pod sień.

Wiś przysiadła jak stado kuropatw
otulona skrzydłami strzech,
ćwierkały wróble w obłokach
omiatanych z nieba szumem drzew.

Gdy Marysia — dziewczyna moja —
błękit chustki zgubiła wśród lip
dzień potoczył się słońcem w powoje
— znikł.

A tam pszenice pachniały jak jej włosy,
na leblodach był smak jej ust,
wróble w miedze naniósły
— marysinych słów.

Świerszcz wciął drogę cykaniem zabiegał.
Lecz nikt wtedy go napewno nie słyszał —
Już zdaleka błękit chustki powiewał,
aż przystoił się liśćmi. Marysio...

STEFAN SZAJDAK :

P R A W I E

Gdy
czas najplonniej wyrasta nad tor
namiętnością ciągnącego południa
jak czerwień serca i myśli :
świat rozrzucony wśród planet i gwiazd
związujesz trzepotem sztandaru
jak
ptak,
jak
ptak.

Odlatują, zielone ptaki
i spadają liście.

Ktoś szepce:
— Patrz: plonie poezji krzak.

* * *

wybuchają w parowie mgły
ziemia dźwiga na ostach znużenie
tu wirujące sny
klękają wysmukłym cieniem

nad łąkami wypukłe wierzby
krążą noce między świtami
jak pociągi dalekobieżne

od nocy burza odrywa czerń
w świtach kawki mrok do gwiazd odnoszą
na drzewach — popatrz
wiszą gwiazd szerokolistne kosze

tędy nad wodę prowadzi noc
na łodziach przyływ i odpływ rysują twe ręce
przychodząc odnosisz krok
jak pełnię szczęścia

ANNA I JESIEŃ

wysoko stoi tam twój obraz Anno
w czerwieni, która włosami zsypuje się w wodę
w lustrze nieba i ziemi wiatry fale do ust twoich garną
jak słowa gorące i młode

wśród wieczoru przychodziłaś Anno
patrzac przez jesień drzew brązowo - rdzawych
włosy miałaś brzozowe rudowłosa panno
i usta jarzębiną szminkowane krwawo

teraz widać twój profil i czuję twe oczy
zapatrzone przez kosze obwisłych gałęzi
to z dojrzałych jabłoni stężały owoc się toczy
i niewyznanem słowem na ustach twych grzęźnie

dziś nie mogę cię kochać — opadłaś z uroku
jak zeszłoroczne wiersze,
Anno taką młotnością darzysz mię co roku
gdy za oknem wrzesień drży na wietrze.

STANISŁAW CZERNIK

DZIEŃ PRZED ŻNIWAMI

SELANKA W TRZECH AKTACH

Akt drugi

(Dzień następny. Czas przed zachodem słońca. Droga wiejska, tuż przed domem proboszczaowskim. Nicco w głębi drewniany kościółek.

Scena 1.

ARCHEOLOG

Pani — z legendy szlachciancezka,
wiejskiego dworku panienczka,
taki —
z bardzo sielskich ksiązek
obrazeczek.

PANIENKA

Czy to być może?

ARCHEOLOG

A właściwie — biały posązek,
oczywiście alabastrowy,
z muzealnych dworków i wiosieczek.

PANIENKA

Może, może.

ARCHEOLOG

Jak zwykle lniane warkocze,
dobrze splecione nazwisko,
ładne imię, figlarne oczy,
cudowne wszystko.

PANIENKA

Panie doktorze, doktorze,
słyszę takie komplementa
jakbym co najmniej była święta.

ARCHEOLOG

Co powiedziałem bynajmniej nie zmierza,
bym się chciał bawić w jakiegoś rycerza,
co to wąsato - ryngrafowy,
dzbaniasto - szablicowy,
z biegiem dni zmieniał się w sielskiego
[pana,

o brzuszku dostojnym, jak becзка,
o twarzy pomidora,
pachnący jak koń i hreczka,
jasny pan ze dwora.

PANIENKA

Zagadka znana,
pocóż te słowa?

ARCHEOLOG

Bo to mniejwięcej tak znaczy :
pani — ksiązkowa szlachciancezka,
wiejskiego dworku panienczka —
jest jak odkrycie archeologiczne,
niespodziewane i — rzec trzeba — śliczne.

PANIENKA

Albo inaczej —
w pewien poranek
odkryty został bałwanek
przez pewnego nieboraka.
Malańka bajeczka taka.

ARCHEOLOG

W usteczkach pani obmowa sroga
biednego archeologa.

Scena 2.

PROBOSZCZ

Tyle utrapień na stare lata
codzień, bez liku.

PANIENKA

Cóż księżuniowi dolega?

PROBOSZCZ

Gdy sześćdziesiątka dobiega,
uwierają wszystkie głupstwa świata.
Utrapien dość —
reumatyzmy, upały,
a dziś na dodatek
ten nieznanomy gość.
Poco tu tyle krzyku?

PANIENKA

Ksiądz proboszcz jest przestarzały.
My się poprostu cieszymy.
Sensacja wbiega w nasz światek —
pan w samochodzie
w tej pustej wiosce!

PROBOSZCZ

Inaczej myśl dobrodziej.
Komu do śmierci blisko,
nie będzie tego układał w rymy,
a innej odda się trosce.
Aniela mi głowę kolacze,
co ma podać na kolację.
Jakże się nie denerwować,
myśleć kiedy upał bucha.
Kazałem zabić kilka kaczek.
Pewnie i butlę trzeba odkorkować.

PANIENKA

Ach, osa, osa lata koło ucha!

PROBOSZCZ

Masz nowe utrapienia:
Sok malinowy zwąchała,
właśnie wypilem dla ochłody
troszeczkę z sokiem wody.

PANIENKA

A sio! a sio! — osa mała,
szanuj kapłańskie święcenia.
Fraszka — maliny i ciastka.
Leć do swojego gniazdka,
tam cię czekają dzieciątka,
osiątka.

PROBOSZCZ

Z tym panem — rzecz osobliwa.
Tak — ni stąd, ni zowąd,
jak deus ex machina,
spada — przybywa.
Zamęt — parlament.
Prawica — lewica.
Tajemnicza mina.
Sprawiedliwy sąd
Gada — zapowiada.
Znika.
Zostaje tylko samochodu śwąd.
Czy to jest sprawa czysta,
czy nie robił wrażeń bolszewika?

ARCHEOLOG

Nie jest to rzecz oczywista —
lecz postać co najmniej dziwna.

PANIENKA

Fantastyczna.

PROBOSZCZ

To wszystko niedobrze wpływa
na lud.
Podobno w chatach się roi,
nie poszli do żniwa,
jakby ich siła wstrzymała magiczna.
Jan pono jakieś ceregiele stroi,
trup prawie, a łże na schwał.
Wszyscy czekają na cud,
jakby się zdarzyć miał.
Próżnuje strzecha,
a pora żniwna.
Taka z tego pana pociecha.
To są dziwactwa głębokie,
igranie z wiejskim narodem.

(z rezygnacją)

A!t, chodźmy lepiej na wodę
z malinowym sokiem.

(odchodzą do plebanji)

Scena 3.

(Nadchodzą: WOJCIECH
I NAUCZYCIEL)

WOJCIECH

Coś mi wyraźnie podpada,
ale mówić nie chcę.

NAUCZYCIEL

Cóż was, Wojciechu, po języku techce?
Najlepiej gada ten, co zaraz gada.

WOJCIECH

Coś mi podpada. Myślę, kalkuluję —
a prawda zjeżdża, jak po równej desce.

NAUCZYCIEL

Mówicie jakoś po grecku.

WOJCIECH

Toć się nie w jednym bywało zapiecku,
to się swe oczy ma, i swój rozumek.
Jak chce pan prosto, to i prosto umiem:
że niby czegoś, panie nauczyciel,
ku dziedzicowej kierujesz się córce.
A ona niby patrzy, a nie widzi.
Lecz niewiadomo — bo może się wstydzi.

NAUCZYCIEL

Myślę, Wojciechu, że to inna droga, —
pewnie byliście u szklanego boga.

WOJCIECH

Ani kropelki, ani kieliszeczka,
jak mi Pan Jezus,
jak mi Panienczka!

NAUCZYCIEL

Poco to bajać niestworzone rzeczy?

WOJCIECH

Niech będzie, kiedy pan przeczy.
Ale ja mam swoje oko,
i zdaje mi się, że to za wysoko.

(przechodzą)

Scena 4.

Nadchodzą: STUDENT I PISARZ

STUDENT

Rzecz inna nie wchodzi w rachubę:
jest to figlarny przypadek
zbiorowego oszołomienia.
Że wierzy temu i proboszcz i ludek,
że stał się tematem gadek,
to sprawy nie zmienia.

PISARZ

Czytałem, że Twardowski
jeździł tak dawniej po świecie.

STUDENT

To bajki — nie wierzysz przecie.
Prędzejby szatan sam zjechał do wioski,
Lecz ni djabeł, ni ten pan nie przyjedzie.

PISARZ

Wszak zapowiedział.

STUDENT

Jest to zupełnie sprawdzalne.
Przekonamy się wkrótce,
że fikcją ów pan przyjezdny.

PISARZ

Przecież nie byli przy wódce.

STUDENT

To nie są rzeczy astralne —
ani zjaw gwiazdny,
ani anioł, ani bestja.

PISARZ

Więc co ?

STUDENT

To tylko zbiorowa sugestia —
nikt nie był, — nie może wrócić.

PISARZ

Dlaczego ?

STUDENT

Mówi logika — prosta, wyczerpana,
nic jej nie może wywrócić.
Sugestia zakrywa błąd.
Jest taka siła fatalna,
co każe wierzyć w cud,
w sprawiedliwy sąd.
Ta siła tumani lud,
i nie — lud.

PISARZ

Któż tu ma słuszność ?

STUDENT

Nikt — i obie strony razem.
W tem zagadnieniu jest poprostu duszno.
Atmosfera zatruta gazem.
W niej się nie żyje — powoli umiera.

PISARZ

Sądziysz, że Archeolog i Proboszcz
Nie mają racji i prawa za sobą ?

STUDENT

Ze względu na dobro nauki ?
Nie. Tu właśnie ginie sens.
Tu — zawikłanie naszych nauk,
naszej sztuki.
Nauka jest, jak organizm, —
potrzebuje odżywczych mięs,
jak my cielęciny, —
a nie przegniętych ścierw.
To jest choroba i nalóg,
i upór — jakiś poganizm :
ciągłe badanie śliny
dawnych czasów,
gmeranie w tem, co było w pierw.
To stare śmiecie.
Poco nam zbiory, muzea i mumje,
rewelacje, doniosłości, nadzwyczajności —
trupie zapachy w rozumie,
śmieszne starożytności ?

I cóż nam z tego —
że znaleziono glaz z przed lat tysięcy,
kiedy czeka, czeka, czeka —
inna zagadka paląca :
krew się przelewa, cenna krew człowieka,
nędza pożera miasta,
bandytyzm kwitnie,
prostyucja się rozrasta,
świat cały z dnia na dzień brzydnie,
kultura ucieka.
Tam trzeba uczonych —
idealistów, specjalistów,
profesorów, doktorów —
gdzie świat, jak żywa krew czerwony.
Cóż z takich odkryć ? —
napiszą grubych ks'ąg tomę —
ale to nie da jednego atomu,
małego atomu szczęścia.
Świat dalej od krwi będzie mokry,
a rozpacz szyje nam skrzęca.

PISARZ

Więc posąg winien powrócić do Jana ?

STUDENT

Rzecz bardziej zawikłana —
prawie symboliczna —
niemal że sprawa narodów.
I nie rozwiąże jej piękny pan z samochodu,
ani jego limuzyna śliczna.

PISARZ

Więc co ?

STUDENT

Co ? Proste — to bałwochwalstwo,
jedno i drugie.
Ciemnota, niewiedza, ospalstwo,
tylko w odmienne przystrojone barwy.
Ten archeolog, który pisze długie
i ciemne traktaty, jak larwy, —
równie przesądny jest — jak nasz Jan stary.

PISARZ

Nie do wiary ?
I niema rozwiązania ?

STUDENT

Ach, jest, jest, gdy chcesz koniecznie.
Przepitować bałwana na dwoje —
wzdłuż albo wszerz.
Bierz jego kształty smukłe,
przedwieczne,
hiedny archeologu, —
i centymetrem mierz.
A druga część — szczęście twoje,
stary głupi Janie :
bierz i wierz
w starą kuklę.
Oto rozwiązanie.
Inne — zbyteczne.

(p r z e c h o d z ą)

Scena 5.

(Nadchodzą: DZIEDZIC i LETNIK)

DZIEDZIC

Smutne kontrasty —
dla jednych jestem hreczkosiejem,
czcigodnym żywicielem miast,
inni do podłych wliczają mnie kast —
poprostu —
zwą mnie złodziejem.

LETNIK

A to jest przecież wiejski ogród.
Pan jest ogrodu ogrodnikiem.
Więc pytam — jakże, miły panie —
czy pięknie rosną twoje róże?

DZIEDZIC

Cóż za dziwaczne pytanie?
Ach, pan niewinnym jest letnikiem,
i wiejskie sprawy mierzy podług
doktryn, zamkniętych, jak podwórze.

LETNIK

Obca mi wszystkich doktryn gwara.
Te rzeczy chcę ocenić zwykłe.
Miarą — poezja serca stara.
Ma dziedzic ogród do uprawy
i piękne miano ogrodnika,
hodowcy róż.
Więc zapytanie moje wniknie
w zawile ale miłe sprawy
ostro a czule:
jak kwitną twoje róże,
sadzone w wiejskim mule?
Cóż?
Jakże śmigają ku górze?
Jakże je wspiera twa tyka,
ogarnia w ziemię motyka?
Jakże je zraszasz wodą,
jakże się cieszysz urodą
swych krzewów, hodowco róż?

DZIEDZIC

Czy przemyślana ironja?
Bo pańska metafora,
podobna do ślepego konia —
chora.
Więc panu określeń ściśle:
tu niema nietylko róż
lecz nawet pońnych bławatów!
Są pospolite chwasty,
pokrzywy, osty,
gnojne, rubaszne krzewiny —
takie jest całe to wiejskie Nadwiśle —
i szkoda szukać przyczyny.

(przechodzą)

Scena 6.

Gromada ludności wiejskiej
z JANEM naczele

JAN

Co mi tam z waszym panem!
nie potrzebuję żadnego wyroku.

SOŁTYS

Powoluśku, Janie,
bo się wam mogli w oku.
Do licha z tem kamieniskiem!
Jabym się za tem wstawiał.

JAN

Choćbym już z tego świata uszedł kawał,
tobym jeszcze wrócił.
I na każdego z pyskiem,
kto chce nasz dobytek ukrócić.
Wara!
To nie jest zwykły kamień.

SOŁTYS

W was, Janie, jakby inna wiara.
Gadacie niby poganin.
Pewnie, że inny,
ale kamień, zawsze kamień.

JAN

A ta figura pod lasem —
Święty Jan — także kamień.
Idźcie, sprzedajcie za złotego.

SOŁTYS

Trza wszystko mierzyć swoim czasem.
Święty Jan co innego,
bo jest święty.

JAN

Takie są wasze wykrety.
To ja wam wytłumaczę,
co nasza figura znaczy:
to jest sam najstarszy Pan Bóg.

SOŁTYS

Jakże to?

JAN

A tak. Nie wierzy tylko mruk.
Najpierw nie było Pana Jezusa,
ani Matki Boskiej.
Potem się Chrystus narodził.
A kto przedtem rządził?
Do kogo szła dusza?
Kto miał o wszystko troski?
Najpierw był Pan Bóg.

SOŁTYS

A był.

JAN

I to jest nasza figura,
to stary Pan Bóg —
to ojciec Pana Jezusa —
Ojczenasz.

Z dawnej pochodzi wiary,
jakiej dziś niema.
Czasów to góra —
Wysoka, daleka.
W naszym ten Pan Bóg był rodzie
od najdawniejszego człowieka,
jeszcze nim się sam Chrystus narodził.

SOŁTYS

Inaczej powie dobrodziej.

JAN

On jest od innego gadania.

● inne rzeczy mu chodzi.

Scena 7.

Do gromady chłopów zbliża
się PROBOSZCZ i wszystkie
osoby, występujące dotych-
czas w tym akcie.

PROBOSZCZ

Urządzenie zebranie.

Odłożyliście żniwa.

I wyście się podnieśli, Janie?

JAN

A wstałem.

WOJCIECH

Myśmy nie poszli na pole,
bo gadają niestworzone rzeczy.
Cała wieś objęta gwarem.

PROBOSZCZ

Czarne robią białem,
białe — czarnem.

WOJCIECH

Dziwy, jak kluski w rosole.
Każdy jak umie — tak skrzeczy.

PROBOSZCZ

O tym panu w samochodzie.

WOJCIECH

Zgadł ksiądz dobrodziej.

PROBOSZCZ

I cóż tam mówią?

WOJCIECH

Każdy plecie, co może —
że ten pan, to nie pan,
że nawet nie starosta,
że kto inny.

PROBOSZCZ

A wy myślicie — jak?

WOJCIECH

Ani tak, ani słak.
Mój rozum nie pomoże —
zwyczajny, gminny —
nie sprostą.

PROBOSZCZ

A ty co myślisz, dziewucho?

DZIEWUCHA

Że przyjedzie —
równiusieńko o zachodzie —
przyjedzie w białym samochodzie,

PROBOSZCZ

Skąd wiesz, że białe auto?

DZIEWUCHA

Tak gadają.

PROBOSZCZ

A kto widział?

WOJCIECH

Nikt nie widział — tak plotą.

STUDENT (ironicznie)

Słońce zachodzi
za las, za las.
Naród się schodzi.
Już czas, już czas.

SOŁTYS

Patrzcie — na drodze kurz.

STUDENT

Jedźcie, jedźcie pan,
jedźcie samochód
na daleką wieś —
będzie cud, będzie cud.

PROBOSZCZ

Przestań pan!
Trąbi na zakręcie,
kurz się sypie z drogi.

SOŁTYS

Gotujcie się ludzie —
na przyjęcie.
Ustawić się ładnie.
Trzeba go witać paradnie.

PANIENKA

Jest — jest samochód,
jak owieczka biały.
Jedźcie, jak cud.

(Samochód zjawia się)

(Głos trąbki)

SOŁTYS

No, ludzie!

LUD

Niech żyje!!!

(Samochód przejeżdża, znika)

(Trąbka w oddali)

(Zdumienie, zaskoczenie)

PROBOSZCZ

Już jest na zakręcie przy moście,
i nie zatrzymał się przecież.

STUDENT

Jechał, jechał pan
przez daleką wieś,
jechał samochód —
wzór białych aut —
jechał, jechał, i przejechał: —
stał się cud.

ARCHEOLOG

Co to znaczy?

PANIENKA

Staneć nie raczył
samochód biały, jak owleczka.

STUDENT

Słodki, jak szklanka mleczka!

PROBOSZCZ

Kochani parafianie!
Ten dzień był dla was naganny.
Pogoda — nie poszliście do żniwa.
Spotkała was wżardza uczciwa.
Pójdziemy do kościoła — do Najświętszej
[Panny
zmówić litanję.

W SPRAWIE KONTAKTU POETÓW

Poruszona ostatnio w „Okolicy Poetów” sprawa organizacji wydawnictw poetyckich, jak słusznie podkreślono, jest jedną z najpilniejszych kwestji wzajemnego zbliżenia współczesnego pokolenia poetów polskich.

Projekt utworzenia spółdzielni wydawniczej przy „Okolicy Poetów”, narazie jak redakcja wyjaśniła, nie może być zrealizowany. Poza tem wydawnictwa, które pod własną firmą wydały tomiki, zastrzegły sobie w umowie wyłączność rozsprzedaży przez szereg lat. Wiele więc tomików odpadłoby z tego chociażby powodu. Jest jednak inne wyjście, które mojem zdaniem z jednej strony rzuci podwalny Związkowi Poetów, a z drugiej stworzy możliwość kontaktu między autorami, upraszczając jednocześnie kwestję nabywania wydawnictw poetów rozrzuconych po całej Polsce. Należałoby zaapelować do wszystkich współczesnych poetów polskich, aby nadesłali pod adresem redakcji kwestjonariusze wypełnione w sposób następujący:

- 1) Imię i nazwisko oraz stały adres autora
- 2) Tytuły i daty wydania tomików
- 3) Nazwa i adres wydawnictwa lub składu głównego
- 4) Objętość i cena każdego tomiku

W ten sposób zgrupowani autorzy utworziliby przy „Okolicy Poetów” Związek Poetów Polskich. Następnie na podstawie zebranych kwestjonariuszy redakcja ułożyłaby i wydrukowałaby katalog z rubrykami jak powyżej. Koszt druku pokryliby solidarnie wszyscy autorzy, co przeciętnie dla stu poetów wyniosłoby po 1—2 zł. Powstałaby więc jakgdyby encyklopedia współczesnej poezji polskiej, poza tem egzemplarze katalogu znalazłby się również w rękach miłośników poezji i czytelników. Katalog byłby uzupełniany corocznie nowymi wydawnictwami.

Tak nawiązany kontakt pomiędzy autorami a także i miłośnikami poezji w dużym stopniu przyczyniłby się do popularyzacji bogatej już dzisiaj polskiej twórczości poetyckiej.

TADEUSZ JULIUSZ DEMCZYK.

RECENZJE

STEFAN NAPIERSKI. ZIEMIA SIOSTRA DALEKA. Warszawa 1936. Wydawnictwo J. Mortkowicza. T-wo Wydawnicze w Warszawie. Str. 88 i 4 nl.

Napierski jest poetą trudnym. Pozbawiony cech żywiołowości, która zazwyczaj ułatwia czytelnikowi zbliżenie się do autora, nieraz wywołuje złudne wrażenie opanowania przez literackość; ale to tylko złudzenie. Z drugiej strony znaczne wyrafinowanie w zakresie środków formalnych też nieraz unieprzystępnia utwory poety. Napozór zimne i lodowate wiersze ożywia przyciszony ton dytyrambiczny, ale częściej cierpka elegijność człowieka, zdawałoby się, skrzywdzonego przez kulturę i opętanego przez literaturę; elegijność poety, któremu jakoby już nic nie pozostawało prócz poezji i ksiązek. „Siwiejące serce”. Ale uderza w tych wierszach, zastanawia, rzecz można, bolesna dyscyplina, rygor, którym poeta otacza się świadomie, jakby pod wpływem jakiejś zakonnej reguły, rozkazującej mu raczej zapominać o sobie a wpatrywać się badawczo i przyjaźnie w objętne nieraz przedmioty i zjawiska. Zapewne ta surowa dyscyplina sprawiła, że nowy tom poezji Napierskiego posiada jedność formalną, uwidaczniającą się głównie w wierszu białym i spokojnej, jednostajnej, niemal prozatorskiej rytmice. Obydwie właściwości przeciwstawiają się spokojem i wyjątkowym opanowaniem powszechnej wicherze panującej ostatnio w krainach rymu i rytmu. W zakresie rymu dochodzimy do szczytowego punktu, do pewnego oszołomienia: wiersze często bywają tak nabite rymami i półrymami, że utwory składają się nieraz całkowicie ze zwojów rymowych, jakby z płatków nakładających się jeden na drugim. Bywa w tem nieraz wirtuozostwo wysokiej klasy, rzadko dawniej spotykane. Wiersz biały, którego użył Napierski, mało naogół spotyka uznania, niewielką też posiada u nas tradycję, może wskutek braku błyskotliwości, gdyż pawiookle rymy bardzo nęcą naszych poetów. Może jednak wiersz biały bardziej harmonizuje ze stylem epoki. Wiersz biały i prosta rytmika przypominają mi nowoczesną architekturę, przynajmniej w zewnętrznych zarysach. Dlatego nowy tom Napierskiego, poety o wyjątkowo czystej grze poetyckiej, zupełnym opanowaniu instrumentu i wysokiej kulturze, jest zjawiskiem godnym większego zainteresowania. Niestety, któż u nas może interesować się poezją, gdy t. zw. warstwa inteligentka znana jest tylko z nazwy, ubrania i zarozumiałstwa?

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI. POWRÓT NA POWISŁE. Poemat. Warszawa 1935. Księgarnia F. Hoessicka. Str. 46. i 2 nl.

Poemat został poprzedzony ideologicznym wstępem: „O polską ewangelję poetycką”. Widzi ją autor, wpatrzony w wspomnienia dzieciństwa, w nielegalnym niegdyś śpiewniku patriotycznym, w którym obok pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła” widniało wezwanie: „my nowe życie stworzymy sami i nowy zaprowadzimy ład”. „Powrót na Powiśle” jest zupełnie udaną próbą epiki, opartej na wspomnieniach z czasów młodości, na plonie tej ewangelji, łączącej ideję niepodległości z rewolucją społeczną w roku 1905. Zastanawia nierówność formalną poszczególnych fragmentów, w których

nawzajem przeplata się zmodyfikowana małopolszczyzna z naleciałościami skamandryzmu. Poemat Dobrowolskiego jest jeszcze jednym dowodem, że współczesny zwrot poetów ku epice przynosi dobre owoce. W dorobku poetyckim Dobrowolskiego „Powrót na Powiśle“, mimo że jest raczej wstępem do większego dzieła, jest niewątpliwie najlepszą pozycją.

SZYMON PIGWA. FRESKI. 1936. Księgarnia J. Dippel w Poznaniu. Str. 64 nl.

Nie znając pierwszego tomu poezji Pigwy, trudno mi więc krótko i pewnie podać charakterystykę poety, zdaje mi się jednak, że dobrze uchwycę jego wyodrębniające się cechy, gdy powiem, że jest to najbardziej typowy poeta-Wielkopolanin. Przez niego wyraża się prawdziwe regio, może tylko szlachecko-ziemlańskie, ale w stu procentach poznańskie, niefałszowane, istotne. Powiem nawet więcej: jest to chyba pierwszy poeta wielkopolski, który w naturalny, swobodny sposób przenosi region do poezji. Określam tak z poczuciem pewnego ryzyka, niemal bez dowodu. Pigwa jest bowiem niepodobny do żadnego ze znanych mi poetów wielkopolskich, może dlatego, że ci poeci — wyrażę się paradoksalnie — śpiewają po małopolsku. Pigwa nie śpiewa, i nic w nim niema z melodyjnej małopolszczyzny; on w swej realistycznej liryce całkowicie jest Wielkopolaninem, nie naśladuje nikogo, pioniersko zdobywa poezję na własny sposób. Wprawdzie nadmiar realizmu nie zawsze jest szczęśliwie równoważony chwytami lirycznymi, a skłonność do groteski często przyjmuje postać przesadną, karykaturalną, ale to też są właściwości regionalne. W każdym razie jest to nowy dopływ, tem ciekawszy, że wypływający z okolic dotychczas mało wykorzystanych przez poezję, pospolicie nawet uważanych za apoetyckie. Długi okres śpiewankowania i przesadnej kwiecistości poetyckiej przyzwyczaił nas do jednostronnego pojmowania poezji. Pigwa, skutecznie wylamując się z pod wpływu tych sztucznych w dużym stopniu norm, stał się dla poznańskiej okolicy poetów prekursorem.

ANTONI MADEJ. Z POEZIJ OTOKARA BRZEZINY. Warszawa 1936. Biblioteka „Zet“. Str. 53 i 3 nl.

Znany poeta i tłumacz obdarzył nas szczęśliwie dobraną wiązką utworów znakomitego poety czeskiej „Moderny“. W przedmowie tłumacz usprawiedliwił się z użycia asonansów, które jednak przekładom nie szkodzą. Nie mogę sądzić, czy i jakle są nieścisłości filologiczne przekładu, natomiast stwierdzić mogę ze stanowiska czytelnika, że spolszczenie jest piękne, nie przynosi drażniących zgrzytów ani niezgrabności, często rozpozszechnionych wśród tłumaczeń. Książka Madeja powinna przyczynić się do większego zainteresowania się poezją czeską.

ANTONI GRONOWICZ. PROSTO W OCZY. Lwów 1936. Nakładem Księgarni Nowoczesnej. Str. 46 i 2 nl.

Pierwszy tomik młodego poety z okresu burzy i naporu. Tętni w nim młodość cierpiąca i buntownicza. Zaliczyć należy Gronowicza do t. zw. poetów proletariackich, nowszych. Ci dawniejsi najczęściej przedstawiali jakąś stylizowaną proletariackość, która zwykle okazywała się pozą.

U Gronowicza odczuwa się bezpośredniość, jego tendencje proletarjackie nie wynikają z papieru. Wiersz jest podstawowym pretekstem jego obrazów poetyckich, wiersz w każdym razie nie jesieninowski, widziana przez mgłę wspomnień, lecz realistyczna, jak u Czuchnowskiego lub Olchy. Poematy Gronowicza, często jeszcze psute zbyt bezpośrednio chwytem agitacyjnym, wskazują, że autor nie posiada dotychczas umiejętności wprowadzania zagadnień społecznych do poezji bez krzyku. Układ graficzny książeczki, niewyraźny, przypomina przestarzałe kreski i futurowski Młodożeńca. Rozbrat ze znakami przestankowania nie pomaga tym wierszom, to modne nieporozumienie przystoi tylko nadrealistom.

ALEKSANDER RYMKIEWICZ. TROPICIEL. Poemat. Wilno 1936. Nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich. Str. 24.

Na podstawie ostatnich tomów wierszy wileńskiej grupy żagarystów można z pewnym prawdopodobieństwem twierdzić o istnieniu wileńskiego klimatu poetyckiego. Wileńskie talenty poetyckie wydają naogół piękne owoce, jednak pod wielu względami podobne do siebie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że to tylko przypadkowość, raczej chyba oddziaływanie wspólnej atmosfery, sprawiającej, że kiełkowanie, rośnięcie i dojrzewanie jednych przypomina podobne okresy u drugich. Zagórski, Putrament, Rymkiewicz (narażenie nie mogę ponitzszego twierdzić o Miłoszu i Bujnickim) mimo różnic, dzielących ich odrębności, wykazali w wybitnym stopniu jednakową skłonność do papierowej egzotyki, do umiejscowiania swych wizyj w krainach polarnych lub podzwrotnikowych. Oczywiście, nie można z tego powodu rościć pretensyj do poetów, niemniej jednak zastanawia aura środowiska, które każe poetom pławić się w urojeniach geograficznych, szukać natchnienia na biegunie i u zorzy polarnej. Z czego to wynika? Z nędzy, z tęsknoty, z ucieczki... Możliwe, że tego rodzaju gra fantazji nie szkodzi poezji, i poemat Rymkiewicza mógłby być też niezłym dowodem, że z podobnego materiału mogą powstać sugestywne, aczkolwiek surogatem naplętnowane utwory. Niewątpliwie, — jednak jako czytelnik odczuwam papierowość tej sugestji, zgóry doznaję przeświadczenia, że poeta popełnia jakąś mistyfikację, że wmawia we mnie (widocznie wadliwie) swą znajomość życia podbiegunowego, że „cisza biegnąca polarnym lusem” jest tylko zwrotem literackim rzuconym bez pokrycia. Rozumiem, że jest to ostatecznie przywilej młodości, a przebijająca się poprzez nadmiar namłastek piękność tego poematu, ambitna koncepcja treściowa, jasna kompozycja widzeń — każą wierzyć, że poeta chwilowo tylko poddał się klimatowi poetyckiemu obecnego Wilna. Niektóre fragmenty posiadają nieprzeciętną wartość, np. pieśń czwarta lub zakończenie, i rokują Rymkiewiczowi przyszłe laury. Jeżeli się zważy, że „Tropiciel” jest debiutem poetyckim, potęguje się wrażenie zjawienia się nowego, mocnego talentu.

STANISŁAW CZERNIK.

POEZJA W CZASOPISMACH

TRAGEDJA NADREALIZMU. Pod powyższym tytułem ogłosił Jan Kott rozprawę w styczniowym „Przeglądzie Współczesnym”. Jest to ciekawy rzut oka na historję nadrealizmu. Autor zaczyna od stwierdzenia, że nadrealizm powstał z dadaizmu. Dadaizm był buntem przeciw współczesnej kulturze europejskiej i odziedziczonym wartościom i tradycjom literackim, nie był ruchem poetyckim, lecz oskarżeniem literatury, działaniem anarchistycznym, które nie tworząc nowych wartości, stało się wyłącznie akcją antyliteracką. Dopiero pod wpływem psychoanalizy następuje przemiana dadaizmu w nadrealizm. Baudelaire, Mallarmé, Rimbaud stają się dla nadrealistów słupami ognistej, oświetlającą drogę. Nadrealizm wprowadza własną hierarchję wartości, stawiając na ich czele sen i marzenie. Freudyzm staje się ewangelją nadrealistów. Powstaje idea zbiorowej pracy poetyckiej, dotarła do prawdy absolutnej poprzez badanie snów, marzeń i zbroczeń psychicznych. Dalsze hasło: poprzez nadrealizm w literaturze — do nadrealizmu w życiu. Twórczość staje się działalnością poznawczą, nadrealizm — szkołą poetyckiego poznania. Pisanie automatyczne stosowane jako metoda psychoanalityczna zapisywania stanów podświadomych. „Sprawa ta jednak — pisze Kott — nie przedstawia się wcale jasno, tradycje mistyfikacji w poezji francuskiej są zbyt silne i świeże, aby wszystkie wyznania pisarzy brać za dobrą monetę”. Utwory nadrealistów tworzą „święty bezład”, fantastyczną żonglerkę poza dobrem i złem, pomiędzy rzeczywistością a nierzeczywistością. Ostatnie utwory Eluarda i Tzary prowadzą do stwierdzenia, że nadrealistyczna poezja musiała zaprzeczyć nadrealistycznej filozofji.

NOTY

REGIONALNA GRUPA POETYCKA „WOŁYŃ”. Z inicjatywy Czesława Janczarskiego powstała regionalna grupa młodych poetów wołyńskich pod nazwą „Wołyń”. Młodzi poeci i entuzjaści pragną wnieść do poezji „melancholijne melodie dumek, geometrję haftu wołyńskiego, bunt twarzy i myśli miejscowego ludu”. W skład grupy wchodzi: Czesław Janczarski, Waclaw Iwaniuk, Stefan Szajdak, Zygmunt Rumel. Wprowadzając do „Okolicy” kolumnę poetów wołyńskich, życzymy nowej grupie pomyślnego rozwoju.

KSIĄŻKI NADESŁANE. W ostatnich czasach otrzymaliśmy następujące książki, które w miarę czasu i miejsca będą recenzowane:

Aleksander Błok. Wiersze włoskie. Przekłady K. A. Jaworskiego i J. Łobodowskiego. Biblioteka Kamieny.

Jan Brzechwa. Piolun i obłok. T-wo Wydawnicze w Warszawie.

Ante Cettineo. Laste nad Uwatom. Split. Izdanje Korablje.

Józef Czechowicz. Nic wzięcej. F. Hoesick. Warszawa.

Wawrzyniec Czereśniowski. Przemiany. Poezycy tom drugi. Warszawa.
Wawrzyniec Czereśniowski. Słucham zamyśleń. Poezycy tom trzeci.
Warszawa. Nakład autora.

Janusz M-Domosławski. Z krainy ducha. Wybór poematów. Kraków.
Stefan Flukowski. Dębem rosnę. Warszawa. T-wo Wydawnicze.

Maciej Freudman. Koncert. Lwów. A. Krawczyński.

Juljusz Grot. Sprawy ludzkie. Poezycy. Warszawa. Dom Książki
Polskiej.

Tadeusz Hollender. Czas który minął i Inne wiersze. Lwów, A. Kraw-
czyński.

Aleksander Janowski. Na Biskupinie i na Pałukach. Kościan.

F. Janczyk. Misterjum pracy. Gebethner i Wolff.

Franciszek Janczyk. Poezycy. Gebethner i Wolff.

Jégé. Wieniawskiego legenda. Edycia mladych slovenskych autorov.
Bratislava-Praha.

Antoni Kasprowicz. Słońce za murem. Łódź. Drukarnia Nakładowa.

Eugenja Kobylińska. Opowieści świerkowe. Wilno. Księg. Św.
Wojciecha.

Marja Kossak-Jasnorzewska. Zalotnicy niebiescy. Sztuka w 3 aktach.
Kraków. Koło wydawnicze „Teraz“.

Jalu Kurek. Woda wyżej. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Stanisław Jerzy Lec. Zoo. Wiersze satyryczne. Warszawa, Sfinks.

Stanisław Jerzy Lec. Satyry patetyczne. Warszawa, M. Fruchtman.

Leopold Lewin. Z poezji niemieckiej. Przekłady. George, Hofman-
sthal, Rilke. Warszawa, F. Hoesick.

Bronisław Ludwik Michalski. Spotkanie z brzozą. Warszawa, F. Hoesick.

Stefan Napierski. Zapomniany polski modernista. T-wo Wydawnicze
w Warszawie.

Leon Pasternak. Dzień pochmurny. Warszawa, Dom Książki Polskiej.

Marjan Piechal. Srebrna waga. T-wo Wydawnicze w Warszawie.

Stanisław Rogowski. Panny leśne. Lwów. A. Krawczyński.

Aleksander Rymkiewicz. Tropiciel. Poemat. Wilno. Związek Literatów
Polskich.

Włodzimierz Słobodnik. Wiersze. Warszawa. F. Hoesick.

Janusz Stępowski. Na morskich szańcach Rzeczplitej. Kronika history-
czna w 6 odsłonach. Wydawnictwo Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

Janusz Stępowski. Gdynia. Wydawn. Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

Xenia Żytomirska. Wiersze. Warszawa. Dom Książki Polskiej.